

# Czystka etniczna w domu?

Joanna Tokarska-Bakir, *Bracia miesiące*.

*Studia z antropologii historycznej Polski 1939–1945*<sup>1</sup>

Marcin Kula

Jest to nadzwyczajnie ciekawa książka, napisana w oparciu o bardzo obszerne i głębokie poszukiwania źródłowe. Autorka kładzie nacisk na świadectwa tych, którzy przeżyli gehennę, a jednocześnie wspiera się rozległymi przemyśleniami i znajomością najnowszej literatury o przemocy i prześladowaniach etnicznych. W kwestiach poszukiwań źródłowych książka spełnia kryteria najbardziej wymagających historyków. W kwestii przemyśleń metodologicznych i znajomości literatury szerszej niż odnosząca się do badanych casusów autorka prawdopodobnie przewyższa odczytanie większości z nas, historyków, a moje na pewno. Niewątpliwie nadaża za publikacjami najnowszymi – co oczywiście pochwalam, choć mówiąc między nami, sam nie wykluczam nawet myślenia badacza opartego na własnej intuicji i pomysłach. Mimo iż nie musi być ono na poziomie światowych klasyków, to może sprawiać przyjemność piszącemu – co też jest coś warte.

Książka Joanny Tokarskiej-Bakir stanowi zbiór mikrografii. To nie są ogólne rozważania nad okupacyjnym bohaterstwem lub podłością w relacjach polsko-żydowskich<sup>2</sup>. Recenzowana książka jest próbą zejścia poniżej ogólników. Autorka pochyla się nad kolejnymi casusami i przygląda się im z dociekliwością śledczego – tyle że staranniej i z większą wolą dojścia do prawdy niż w badanych wypadkach postępowali zawodowi śledczy. Takie podejście stanowi o wadze książki – z zarysowanych mikrografii płyną bowiem wnioski znacznie ogólniejsze. Wnioski niedobre dla dominującej bohaterstwo-martyrologicznej wizji narodu polskiego. Narodowe ego ich nie lubi. Naruszenie kanonicznej, pozytywnej wizji jest na ogół przyczyną, dla której przeszłość stosunków polsko-żydowskich staje się materiałem wybuchowym. Nieraz wzbudza zresztą namiętności także na niższym poziomie, z powodów bardziej lokalnych.

Oczywiście studium casusów samo w sobie nie przesądza proporcji zjawisk. W końcu zbrodnie bywają popełniane wszędzie i zawsze. Takie badanie bardziej pokazuje mechanizmy, także mentalność ludzi i tok ich rozumowania. Formy jednego i drugiego, choć mogą oczywiście być wyostrzone w wypadku danych ludzi bądź na skutek rozwoju sytuacji, nie biorą się jednak z niczego. Nadto istotne, że niedobrych casusów było dużo – co też utrudnia powiedzenie „zbrodnie się zdarzają”. Wieś bez bólu szuka Żydów („Żydków”) ukrywających się po lasach. Sołtysi bardzo spokojnie podejmują niemieckie żądanie pilnowania, czy we wsi pojawiają się Żydzi. Po wojnie swoim nie pamięta się popełnionych zbrodni. Obecna „polityka historyczna”, rozciągająca splendor „Sprawiedliwych” na wszystkich Polaków, nie ma uzasadnienia.

<sup>1</sup> IBL PAN, Warszawa 2021, ss. 526.

<sup>2</sup> Dla uproszczenia będę używał takich, powszechnie przyjętych, terminów, choć w tym zestawieniu budzą one mój sprzeciw jako eliminujące Żydów ze społeczności polskiej.

Waga książki płynie też ze skupienia się autorki nad terenem wiejskim. Do niedawna zainteresowanie rozważaną sprawą skupiało się raczej na miastach – i to często na największych. Hitlerowcy organizowali getta w miastach, a na ogół zapamiętano te największe i najdłużej trwające. Tu, mimo całego milczenia powojennego, więcej mówiono o Żydach chroniących się poza gettami niż na wsiach. Miasta są w ogóle bardziej źródłotwórcze niż wieś. Tak było chyba zawsze, tak było i tym razem. Od niedawna więcej uwagi poświęca się losom Żydów na wsiach i, szerzej, w małych ośrodkach. Prawda, że pod koniec książki autorka wraca do Kielc, konkretnie do pogromu kieleckiego, którym zajmowała się już monograficznie i nawiązuje do tamtego, zresztą imponującego studium<sup>3</sup>.

Ciekawe jest zajęcie się przez autorkę regionem kieleckim i sandomierskim. W myślenie wielu zainteresowanych osób wszedł już, choć nieraz z oporami, obraz Jedwabnego i innych miasteczek z tamtej okolicy, jako zbrodniczo antysemitycznych podczas wojny. W tej książce kolejne dwa regiony spadają pod kreskę. Obrazy Karola de Prévôt w Katedrze Narodzenia Najświętszej Maryi Panny stają się podwójnie symboliczne, pogrom w Kielcach rysuje się jeszcze bardziej jako kontynuacja lokalnego stylu myślenia. Pytanie, ile jeszcze regionów spadnie do grupy niesławy? Różnice między regionami mogłyby być zresztą ważnym tematem. W Warszawie pojawia się, co oczywiste, wiele wątków negatywnych, ale nie mam wrażenia, żeby prowadziły one do obrazu ideowego eliminowania Żydów z polskiego środowiska – o czym autorka mówi w odniesieniu do Sandomierskiego.

Bardzo ważny jest w książce obraz działań antysemitycznych prowadzonych właśnie w imię czystki etnicznej. Prościej mówiąc: takich, które są czystką etniczną. Autorka pisze:

Działalność drużyn dywersyjnych AK i BCh na Sandomierszczyźnie wpisuje się w logikę czystki etnicznej prowadzonej w cieniu Zagłady, ale na własną rękę i w sekrecie przed Niemcami. Za opisanymi tu masowymi mordami (zapewne nie skończyło się na wspomnianych 66 ofiarach) nie stała ani eksterminacja polskich elit przez okupanta, ani domniemana chłopska wrogość wobec „obcych”<sup>4</sup>. Napędem czystki etnicznej była logika hitlerowskiego ludobójstwa, przystosowana do tego, jak jego polscy kontynuatorzy pojmowali własny interes narodowy. Wykładni tego interesu dostarczył przedwojenny polski antysemityzm, zarówno ten zakazany rasistowski, jak i tolerowany przez rząd, gospodarczo-polityczny, którego przesłanie o Żydach jako o „prijawkach krwi polskiej” jasno wypowiedział Szczepan Chyla<sup>5</sup> (s. 97).

Także w innym miejscu autorka podkreśla, że „Wszystkie akcje »na Żydów« organizowane były bez wiedzy czy zachęty Niemców” (s. 146). W wypowiedziach zbrodniarzy pojawia się przytoczone już określenie Żydów jako „prijawek polskiej krwi”. W świetle badań autorki w okolicy Koprzywnicy BCh nie walczyły z Niemcami, lecz z Żydami. Powrót ocalałych zaburzałby uzyskaną czystkę.

<sup>3</sup> J. Tokarska-Bakir, *Pod klątwą. Portret społeczny pogromu kieleckiego*, Warszawa 2018.

<sup>4</sup> M. Zaremba, *O polskiej banalności zła*, „Polityka” 2011, nr 12, (przypis autorki).

<sup>5</sup> Dowódca oddziału Samoobrony BCh, zbrodniczego wobec Żydów. Autorka mówi o nim na poprzednich stronach.

Ciekawa jest polemika autorki z koncepcją, że zbrodnicze działania antysemickie podejmował „motłoch”. Pokazuje ona, jak to uczestniczyły w nich elity, także urzędnicy gmin. Twierdzi, że nie grupy niżej usytuowane w hierarchii społecznej je inicjowały; te raczej podejmowały działania inicjowane przez ludzi lepiej wykształconych i sytuowanych. O tym, że w przeklętych działaniach wcale nie dominują urodzeni sadyści, lecz ludzie normalni, nie warto wspominać – o tym bowiem wiadomo z różnych zbrodniczych systemów i działań.

Porażają autorki obserwacje o złej roli sieci AK i BCh, także strażaków, w tępieniu i mordowaniu Żydów na Sandomierszczyźnie. Nie tylko poszczególnych ludzi, ale właśnie siatek tych organizacji. Niby wiadomo, że musiały one przypominać środowisko, w którym działały. Niby znane są materiały, które mówiły o niechęci do Żydów w AK. Znane są choćby wypadki nieprzyjmowania Żydów, którzy przeżyli do tego momentu, do oddziałów powstańczych w 1944 r. To jednak, co pokazała autorka na ten temat w rozdziale „Drużyny dywersyjne AK i BCh na Sandomierszczyźnie” (sprawa pojawia się też notabene w innych miejscach), było straszne. To nie tylko NSZ, zdumiewająco teraz wielbiony jako bohaterski, miał nieczyste sumienie.

Ciekawe jest pokazanie w książce, jak wielką rolę w działaniach przeciw Żydom odgrywał motyw zysku materialnego. Są sygnalizowane wypadki mordowania, gdy ofiara nie miała żadnych pieniędzy. W Klimontowie człowiek błagał: „Nie mam żadnych pieniędzy, gospodarz żywi mnie za darmo” (s. 388, 394). Po zabiciu można było wszakże zdjąć z niego sweter i buty i samemu w nich chodzić (s. 394). Działał nie tylko obraz żydowskiego złota – choć ten oczywiście też. Brano nie tylko pierścionki i złote zęby (!). Brano cukier za wydanie kogoś. Przeszukiwano ubrania mordowanych. W jednej z opisanych scen, po mordzie i rabunku ktoś mówił: „opłaciło się” (s. 412). Z domu, gdzie mieszkali Żydzi, wynoszono bieliznę, buty, kożuchy, pościel, spody od butów, talerze, rondle, patelnie. Jakiejś kobiecie zabiera się dwie pary pończoch (s. 45), innym znów maszynę do szycia (s. 233). Po zastrzeleniu jakiegoś krawca można było pokłócić się o ściągnięte z niego spodnie:

Bobek mówił, że jemu się spodnie należą, gdyż on pierwszy strzelił do obywatela narodowości żydowskiej, zaś Majka odpowiedział mu, iż po jego strzale tenże obywatel jeszcze stał na nogach, a dopiero po strzale Majki wyrzucił się na ziemię, wobec czego spodnie należą się jemu. W rozmowę następnie włączył się Sadłocha Teofil, mówiąc, iż on wystrzelił razem z Majką i on powinien zabrać te spodnie. Jako ostatni wypowiedział się Chyla Szczepan, że nie ma w czym chodzić, i jako dowódca zabrał sobie spodnie (s. 200).

Warto spojrzeć, jak ów okres w kronice parafialnej scharakteryzował ówczesny proboszcz Klimontowa, ksiądz Tomasz Zadęcki:

Po wyjściu Żydów [chodzi o likwidację getta, w Klimontowie] utworzyła się grupa ludzi, tzw. górników. Chodzili oni z kilofami, żelaznymi drągami [...] nocą po domach żydowskich i rozbijali mury, piece, kopali w piwnicy i wydobywali ukryte bogactwo żydowskie: pieniądze, tekstylia, skóry itd. Klimontów teraz zaczął pić, upijać się – miał przecież za co – plaga pijaństwa zaczęła opanowywać młodzież, która stała się teraz harda, grubiańska... (s. 398).

Podczas rewolucji francuskiej ogromna część kradzieży w Paryżu była kradzieżami ubrań. Gdy się czyta o rabowaniu Żydom byle czego z ubrania, odnosi się wrażenie, że czas nie płynie. To wciąż robi wrażenie walki o byt, o koszulę – tyle że mimo wszystko łatwiej zrozumieć kradzież koszuli (powiedzmy już tak) niż zderzenie jej z zabitego przez siebie człowieka. Może w takich reakcjach – antyetycznych zresztą też – warto posłużyć się kategorią „długiego trwania”? Po wyzwoleniu nie chciano powrotu ocalałych także ze względu na domy, mieszkania, perspektywę zwrotu rzeczy otrzymanych na przechowanie. Mało to wszystko pasuje do obrazu martyrologiczno-bohaterskiego...

W opisywanym rabunku jest jeszcze jeden zaskakujący, choć nie najważniejszy motyw. Zwłoki na ogół – nawet jeśli nie zawsze – zostawia się w bieliźnie. Zabić można, ale kanonu moralności trzeba przestrzegać (sic!). Skądinąd ciekawe, że zbrojcy przecież nie krępowali się przy sprawdzaniu obrzezania. W filmie Pawła Łozińskiego *Miejsce urodzenia* też jest motyw ofiary zabitej siekierą, która leży w błocie obdarta z ubrania – ale ktoś przykrył genitalia szmatą, żeby dzieci nie patrzyły. Obraz mordu nie naruszał widać kanonów wychowania.

Ciekawe – jeśli wciąż można używać tego słowa w rozpatrywanym kontekście – jest gwałcenie przy tym wszystkim młodych Żydówek. Sprawa gwałtów pojawiła się obecnie w rozważaniach dotyczących różnych sytuacji wojny i terroru okupacyjnego czy wojennego. Przez długi czas o nich nie mówiono, a przecież gwałt na kobietach wroga od bardzo dawna był formą ostatecznego nad nim zwycięstwa. No właśnie. W badanych wypadkach nie tylko uważano, że Żydów można rabować jako „krwiopijców”, ale można gwałcić kobiety z tej grupy. Za rabowanie Polaków wymierzano na wsi kary. Myślę, że za ewentualne gwałcenie Polek też.

Bardzo ciekawe jest pokazanie – człowiek po człowieku – fałszu popularnego w Polsce obrazu powojennej władzy jako żydowskiej, UB jako żydowskiego itd. Autorka pokazuje, jak mało było obywateli polskich pochodzenia żydowskiego w powojennych siłach represyjnych czy wśród ich informatorów, jak wielu zaś ludzi o rękach nieczystych właśnie w sprawie żydowskiej. Pisze: „Konkluzje kieleckie potwierdzają zatem jedwabieńskie wnioski Jana Tomasza Grossa, iż w istocie to wcale nie Żydzi, ale antysemita w mundurach budowali powojenny komunizm w Polsce” (s. 464).

Tacy ludzie mogli nie tylko przemilczać minione działania, ale wręcz przekłamywać informacje o sobie. Mogli trafiać do organów represji z własnej woli, wiedząc, że nieraz jest „najciemniej pod latarnią” lub chcąc mieć parasol ochronny, a mogli być też wykorzystywani jako mający coś na sumieniu. W tym kierunku mógł działać ich standard moralny, w myśl którego najważniejszy był własny interes – co sugerowało związek z każdą władzą i dominowanie nad innymi możliwie zawsze. Z kolei stosunek powojennej władzy do sprawy żydowskiej na dowolnym szczeblu był sprawą dosyć skomplikowaną. Znacznie bardziej skomplikowaną niż, jak się nieraz zdaje, postawienie pomnika Bohaterów Getta w Warszawie przy braku pomnika Powstania Warszawskiego. Mam wrażenie, że ta władza bała się niechęci do Żydów w Polsce, bała się etykiety „żydokomuny”, nie chciała za bardzo przypominać tych spraw, nie przewidywała istnienia mniejszości żydowskiej w Polsce, nie miała nic przeciwko emigracji Żydów.

Pokazywanie komunistycznej władzy, a zwłaszcza UB jako tworu żydowskiego było fragmentem jeszcze jednego ciekawego zjawiska wspominanego przez autorkę. Było mianowicie elementem różnych, stosowanych przez społeczeństwo technik zarysowywania granic narodu w taki sposób, by zgodnie z potrzebami momentu zarysowywał się możliwie najkorzystniej. W kontekście postawy wobec Żydów autorka mówi:

Odcinać się od sprawców można na dwa sposoby. Pierwszy to relegowanie ich na kryminalny margines narodu. Szmalcownik przestaje być Polakiem, zaczyna być „niemieckim sługusem”. Żołnierz Armii Krajowej, który zabił Żyda, też automatycznie być nim przestaje, tym bardziej jeśli po wojnie wstąpił do komunistycznej milicji. Drugą strategią jest przydzielanie sprawcom statusu ludzi peryferii – »przerośniętej kawalerki, a nie ojców rodzin«<sup>6</sup>, „ludzi luźnych” – niepiśmiennych, bezdomnych, ubogich, albo »zbędnych«, jak w tytule tekstu Stefana Czarnowskiego „Ludzie zbędni w służbie przemocy”<sup>7</sup>.

Rewersem wykluczania sprawców przez obniżanie ich statusu społecznego jest idealizacja tych, z którymi społeczeństwo się identyfikuje, jego elit ideologicznych i wzorotwórczych (s. 465).

Sygnalizowane zjawisko jest znane z różnych okresów i krajów. Podczas rewolucji francuskiej poza naród usuwano arystokratów i emigrantów. W tejże Francji po II wojnie światowej za kolaborantów, a właściwie za kolaborantki przez długi czas najchętniej uznawano kobiety zadające się z Niemcami i ustawiano je „poza narodem” w bardzo drastyczny sposób. W istocie podobnie czyniono z kobietami, które miały dzieci z żołnierzami niemieckimi w Norwegii, gdzie o kontakty męsko-damskie w takiej konfiguracji było łatwiej z powodu innego statusu wojsk niemieckich. W Polsce swego czasu można było mówić o władzy „żydowska”. Potem dzieliliśmy świat na „władzę” i „społeczeństwo” – w myśleniu eliminując w ten sposób „władzę” z narodu. W opisie mordu w Jedwabnem można kłaść nacisk na odpowiedzialność Niemców, w opisie pogromu kieleckiego na prowokację – najlepiej sowiewką, a co najmniej ubecką.

Można jednak pójść dalej: posądzić nielubianych o działania ustawiające ich ipso facto poza narodem. Komuniści tak usiłowali do czasu pokazywać dawne warstwy wyższe, a prawie do końca swojej władzy przedwojenne rządy, AK i emigrantów. Zarzuty zdrady Polski przez Żydów w konflikcie z Ukraińcami o Lwów w 1918 r. i „witania” Armii Radzieckiej w 1939 r. miały w swej strukturze podobny charakter. Nie miejsce tu na bliższe ich omawianie.

Dla wszystkich powyższych powodów książkę przeczytałem z dużym zainteresowaniem, ale – nie da się ukryć – jednocześnie z pewnym niepokojem. Obraz w niej zawarty – podobnie jak pokazany w innych, współcześnie prowadzonych

<sup>6</sup> Zob. polemika Antoniego Sułka z *Sąsiedami* Jana Tomasza Grossa pt. *Historia bandyctwa we wsi Borsuki od czasów najdawniejszych*, „Więź” 1999, nr 11, (przypis autorki).

<sup>7</sup> S. Czarnowski, *Ludzie zbędni w służbie przemocy* [w:] idem, *Społeczeństwo – kultura. Prace z socjologii i historii kultury*, Warszawa–Poznań 1939. Zob. dyskusja w: J.T. Gross, *Sąsiedzi i inni. Prace zebrane na temat Zagłady*, Kraków–Budapeszt–Syrakuzy 2018, s. 401 (przypis autorki).

badaniach<sup>8</sup> – jest tak czarny, że przywołuje myśl o ludziach, którzy choć może nie na opisywanym terenie, jednak nie ulegli omawianym tendencjom i bądź pomagali Żydom, bądź stali z boku. Oczywiście, stanie z boku w obliczu widocznej zbrodni nie nobilituje. Niemniej jednak w każdej sytuacji występują różnice w zachowaniach między ludźmi.

Nawet dobrze wiedząc o antysemityzmie w Polsce międzywojennej, spontanicznie zaczyna się myśleć o tym, że przedwojenny syjonizm nie był tu jednak ruchem masowej ucieczki. Relatywnie mało Żydów stąd wyjeżdżało (choć młodzież nieraz musiała bądź z powodu atmosfery chciała wyjeżdżać na studia za granicę). Nawet jeśli profesor Zdzisław Żmigryder-Konopka (by sięgnąć do przykładu z różnych powodów mi bliskiego!) nie mógł otrzymać katedry na Uniwersytecie Warszawskim, to jednak funkcjonował w tutejszym świecie akademickim. Istniało wśród Żydów życie polityczne, także reprezentacja mniejszości w Sejmie. Niechęć wobec Żydów rodziła się – niestety – właśnie w związku z tym, że Żydzi byli widoczni w różnych miejscach i na różnych szczeblach hierarchii społecznej. Dopóki odmienna grupa pozostaje stabilnie nisko, to – o czym autorka oczywiście wie – grupy wyższe mniej się nią przejmują. Jasne, że wbrew całej obecnej propagandzie Polska międzywojenna nie była przyjazna dla Żydów. Wbrew propagandzie Polacy i Żydzi nie żyli razem, lecz obok siebie – ale jedni i drudzy jednak żyli. Nawet jeśli odzyskaniu niepodległości towarzyszyły pogromy, a w późniejszym czasie miał miejsce pogrom w Przytyku i inne wrogie działania, to – niczego nie usprawiedliwiając – w ramach historyczno-socjologicznej analizy warto pamiętać zarówno o zaburzeniu wszystkiego pod koniec I wojny światowej, jak o sile akcentu nacjonalistycznego obecnego we wszystkich państwach odzyskujących lub uzyskujących niepodległość i trwającego w Europie Wschodniej praktycznie w całym okresie międzywojennym.

Gdy w opowiadaniu Nałkowskiej *Przy torze kolejowym* młody człowiek strzela do leżącej przy torze Żydówki tak łatwo, jak w pierwszej jej podawał papierosa (autorka rozpatruje scenę, która była pierwowzorem dla Nałkowskiej), to oczywiście postępuje tak, gdyż ofiara jest Żydówką. Do leżącej polskiej kobiety by nie strzelił, gromada raczej by ją ratowała. Nad zbrodniczością owego działania nie warto się zastanawiać, jest oczywista. Można ją natomiast jednocześnie potraktować jako skrajny przykład sytuowania kogoś poza wspólnotą. Podobnie można podejść do wspomnianego w książce przekonania, że ujawniony Żyd musi umrzeć dla przetrwania ratujących go lub szerszej grupy. Mechanizm byłby inny w wypadku zagrożenia swoich. Był zresztą inny. Jak podkreśla autorka, na Kielecczyźnie było miejsce nawet dla cichociemnych – ale nie dla Żydów. Może takie sytuowanie kogoś poza wspólnotą tłumaczy się silnym nacjonalizmem wyrosłym na tle I wojny światowej i w niektórych krajach na tle wejścia w niepodległość. Tak, wiem, w Poznańskim antysemityzm był silny, choć zaburzenie czegokolwiek było tam chyba najmniejsze. Nie neguję głębszych, mentalnych podstaw antysemityzmu. Można w ogóle przyjąć, że w świecie chrześcijańskim akcent przeciwny Żydom występuje

<sup>8</sup> Przykładowo: G. Gauden, *Lwów. Kres iluzji. Opowieść o pogromie listopadowym 1918*, Kraków 2019; J. Grabowski, *Na posterunku. Udział polskiej policji granatowej i kryminalnej w zagładzie Żydów*, Wołowiec 2020; J.T. Gross, *Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka*, Sejny 2000; idem, współpr. I. Grudzińska-Gross, *Złote żniwa. Rzecz o tym, co działo się na obrzeżach zagłady Żydów*, Kraków 2011; *Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski*, red. B. Engelking, J. Grabowski, t. 1–2, Warszawa 2018; M. Tryczyk, *Miasta śmierci. Sąsiedzkie pogromy Żydów*, Warszawa 2015; *Wokół Jedwabnego*, red. P. Machcewicz, K. Persak, t. 1–2, Warszawa 2002.

od pewnego wydarzenia zaszłego około roku zerowego. Przecież jednak ta prawdziwa obserwacja nie zwalnia z dalszych. Z pewnością istniało jakieś podłoże nienawiści etnicznej, ale w pewnych sytuacjach pojawiały się czynniki je aktywizujące. Nie sądzę, by się dało opracować uogólnioną teorię nienawiści etnicznych. W końcu występowały one w bardzo różnych krajach, w różnych cywilizacjach i w kręgach różnych religii, także przy różnych okazjach. Raczej myślę, że zdania uogólniające mogą przybrać jedynie formę sądów o czynnikach zwiększających prawdopodobieństwo zajścia.

Okupacja była jednym z takich czynników. Potem wzrost antysemityzmu miał miejsce w obliczu powojennego zamieszania i pustki władzy. Można oczywiście powiedzieć, że wtedy przejawiała się prawdziwa mentalność ludzi i ich dążenie do zagarnięcia tego, co żydowskie. Zostawmy na boku, że tak samo chętnie zagarniano to, co niemieckie. Myślę jednak, że owa pustka władzy, a w każdym razie częsty brak władzy efektywnej i akceptowanej, nasilały to, co drzemało w wielu umysłach. Zdaję sobie sprawę, że takie stwierdzenie zakłada, iż człowiek jest z natury obciążony potencjałem zła, a zatem trzeba nim kierować. Takie stanowisko mi nie odpowiada. Jako historyk wiem jednak, jak często w sytuacjach pustki władzy, a przynajmniej braku uznawanych autorytetów, wyzwały się niedobre zjawiska. Niedobre uczucia, choćby żywione tylko przez część społeczności, łatwo się rozpały. Ludzie łatwiej ulegali naciskom innych jednostek czy grup. Nie wiemy, jakie uczucia rozpałyby się we Francji, gdyby tam w 1944 r. zaistniała pustka władzy. Mimo najpierw pokonania tego kraju przez Niemców, a potem pokonania Niemców, pustki władzy lokalnej tam jednak praktycznie nie było. Powojenne rozbicie społeczeństwa, o którym mówi Zaremba<sup>9</sup>, najpewniej miało wpływ m.in. na wyzwolenie się antysemityzmu. Oczywiście, on istniał, na Żydów przenoszono też różnoraką agresję itd. – ale na zdrowy rozum rozbicie społeczeństwa ułatwiało wyrażanie się jej. To niczego nie usprawiedliwia – żadnych przejawów nienawiści ani tym bardziej mordowania. W ramach prób zrozumienia tego, co zaszło, warto jednak brać pod uwagę scenę, na której rozgrywały się konflikty.

Zapytajmy, czy niechęć do Żydów, obserwowana po wojnie, przekładająca się – jak często w antysemityzmie w Polsce – na przekonanie, że Żydzi zagrażają, nie wkomponowywała się w sytuacji powojennej w całokształt lęków, zasadnych lub nie? Czy obawa przed nową władzą i żołnierzami sowieckimi zawsze była tylko budowana na podłożu nienawiści do Sowietów? Czy nie było podstaw dla obaw? Czy nie było ludzi, którzy zaznali ciężkiego losu bliżej lub głębiej w ZSRR? A czy to nie mogło się złączyć z obawami przed Żydami, w tym wypadku rzeczywiście uwarunkowanymi mocno zakorzenionym antysemityzmem i stereotypem, obejmującym wiarę w mord rytualny i słyszane w dzieciństwie napomnienie, że „Żyd cię porwie”? Czy cała ówczesna atmosfera nie sprzyjała obawom racjonalnym i nieracjonalnym, fantazmatom, tworzeniu się mieszaniny realiów i fantazmatów, w której coś zakorzenionego w mentalności sprzyjało antysowietyzmowi, coś zaś niedobremu patrzeniu na Żydów? Trudno to rozłożyć na anatomiczne części. Silna wtedy nienawiść do Żydów była niewątpliwie przedłużeniem zakorzenionych bzdurow. Ale przypuszczam, że rację ma Zaremba, iż różne czynniki jej sprzyjały, wzmacniały ją. Przypuszczam, że strach przed ZSRR i żołdatami paradoksalnie wzmacniał agresję przeciw Żydom. Jeszcze raz powtórzę, że nie wykluczam niewątpliwie istniejącej wówczas nienawiści do Żydów,

<sup>9</sup> M. Zaremba, *Wielka trwoga. Polska 1944–1947. Ludowa reakcja na kryzys*, Kraków 2012.

tylko widzę czynniki sprzyjające jej, a zwłaszcza jej przejawom. Obawiam się, że zostanę uznany za zabetonowanego w wizji określania świadomości przez byt, boję się odwołać do zdrowego rozsądku – ponieważ jak wiadomo, to nie jest narzędzie i kategoria nauk społecznych – ale w ramach zdrowego rozsądku (!) w zaburzeniu sytuacji wówczas w Polsce mógł się rodzić niepokój, co dalej będzie. Mogło to sprzyjać szukaniu intelektualnych rozwiązań, m.in. w kierunku pomysłów antysemickich, gdzie droga była – to oczywiście prawda – dobrze wymoszczona. Nawiasem: nie tak dawno zdarzyło mi się słyszeć opinię, że nawet komunizm w Chinach był żydowskim dziełem. Mogłem mówcy podsunąć, że faktycznie znam nazwisko jednego europejskiego komunisty żydowskiego pochodzenia w otoczeniu Mao Zedonga (sic!), ale – co chyba nie dziwi – ograniczyłem się do patrzenia z przerażeniem.

Georges Lefebvre pisał o „wielkiej trwodze” w okresie poprzedzającym rewolucję francuską jako o zrodzonej z rzeczywistych obaw, a nie z zastarzałej nienawiści przetworzonej we własny strach – skoro nie dawało się jej wyładować. Nie jestem kompetentny, by oceniać jego diagnozę. Ale łatwo dać wiarę, że w czasach, o których pisał, zwykły strach był szeroko rozpowszechniony, nieprawdaż? Czy z kolei Amerykanie, którzy podczas II wojny światowej zamknęli swoich obywateli, wywodzących się z Japonii, w gruncie rzeczy bardziej ich nienawidzili, czy bardziej się ich bali? Nie rozstrzygniemy tego. Zjawiska społeczne tłumaczą się różnymi czynnikami. W odniesieniu do „marca” pojawiły się głosy, że Polacy byli niewinni, winien był komunizm – zupełnie, jak gdyby członkowie komunistycznej elity, którzy rozpętali „dintojrę”, nie byli Polakami. Oczywiście byli. Jasne, że w całej rozgrywce, zarówno od strony autorów, jak tych odbiorców, którzy im sprzyjali (rozdzielenie nie musi być precyzyjne!), tkwiły zadawnione poglądy antysemickie i przekonanie, że warto się do nich odwołać... ale komunizm jako okoliczność, ułatwiająca rozkręcenie maszynki oraz formę jej zadziałania, akurat w 1968 r. też był ważnym czynnikiem – choć teraz wygodnie oczyszczać wszystkich przez zrzucenie nań całego wyobraźnego zła.

W jednej ze swoich analiz przypadków autorka kwestionuje wagę czynnika dystansu między społecznościami jako sprzyjającego negatywnym zachowaniom wobec Żydów (s. 66: „Zdarzenia opisane w artykule zadają kłam przekonaniu, że wojennemu wydawaniu Żydów sprzyjał dystans etniczny pomiędzy sąsiadami. Jak widać z przytoczonych świadectw, w Bełku ów dystans był minimalny”). Podobny wniosek nasuwa się przy czytaniu wyżej przywołanych badań o mordach w Jedwabnem i w okolicznych miejscowościach. Nie wątpię w solidność badań, jakie autorka oraz inni autorzy przeprowadzili. Z różnych sytuacji dawnych i współczesnych wiem, że bliskość może się zmienić w radykalny dystans dopiero na krótko przed tragedią. Nie wątpię zresztą, że czasem człowiek może zabić takiego, który pochodzi z tej samej grupy etnicznej i nawet znajomego. Wystarczy posłuchać dziennika telewizyjnego, by się o tym przekonać. Niemniej jednak podtrzymam, co sam nieraz mówiłem, że czynnik dystansu między społecznościami był jednym z fundamentalnych dla losów ludności żydowskiej w Polsce. Nie wątpię, że dominująca w Polsce przedwojennej mentalność, a w tym postawa Kościoła i treści przezeń głoszone, były bardzo istotnym – choć nie wyłącznym – czynnikiem genezy tego dystansu. W całokształcie Holokaustu na ziemiach polskich on był jednak też ważny. On sprawiał, że podejmowano ryzyko w wypadku potrzeby pomocy komuś z podziemia, a w wypadku potrzeby ukrycia Żyda niekoniecznie (by to delikatnie powiedzieć!).



Zresztą, co tu dużo mówić? Czy wielu z nas udzieliłoby dziś pomocy w potrzebie, dajmy na to Wietnamczykowi, czy Afrykaninowi na ulicach Warszawy? Z pewnością mniej niż Polakowi w analogicznej sytuacji.

Autorka ma z pewnością rację, gdy mówi, że negatywne zachowania wobec Żydów nie były w sposób zasadniczy powiązane z wykształceniem oraz statusem społecznym. Pisze:

Wydaje się, że najważniejszą dyskusję na temat udziału w Zagładzie Polacy mają jednak jeszcze ciągle przed sobą. Wymaga jej wygodna konkluzja, że polskim pogromom i mordom winne są niereprezentatywne dla Polski „męty społeczne”, albo też „ciemne chłopstwo”, nieokiełznane w swojej nienawiści do Żydów. Teza ta pojawiła się w debacie o pogromie w Jedwabnem, powróciła w dyskusji o składzie pogromowego tłumu mordującego Żydów w Kielcach, a obecnie odzywa się w sporze o udział chłopów w trzeciej fazie Zagłady<sup>10</sup>. Mimo dowodów, że we wszystkich trzech przypadkach żydowskich sąsiadów mordowali „zwykli ludzie”<sup>11</sup>, przekrój społeczny uformowany przez wspólny całemu społeczeństwu antysemitki światopogląd, polska opinia publiczna wciąż nie może się z nią pogodzić (s. 464–465).

Otóż sam akceptuję, że powiedzenie, iż za działaniami antyżydowskimi stał „motłoch”, jest za łatwe. Źródłowo autorka stwierdza nikłość „motłochu” w kieleckim tłumie. Mogę tu zresztą powołać podobny obraz, zarysowany przez mego własnego Ojca, który wtedy pisał o Kielcach<sup>12</sup>. Mogę też wspomnieć, że przedwojenni „żyłtekowcy” byli wykształceni i dalej pobierali nauki. Nieraz właśnie ludzie lepiej usytuowani i wykształceni bardziej chcieli pozbyć się „innych” jako konkurencji lub potencjalnej konkurencji niż tacy, którzy byli bez szans. Haseł uwolnienia Polski od Żydów przez wysłanie – powiedzmy symbolicznie – na Madagaskar nie formułowali najniżej usytuowani. Wielokrotnie sam przywoływałem drobny epizod, na który natknąłem się w badaniach nad zjawiskiem emigracji. Nie miał większego znaczenia, ale moim zdaniem był charakterystyczny. Policja ze wschodniej Polski odkryła mianowicie jakąś firmę, nielegalnie przemycającą Żydów do Palestyny. Naruszenie prawa było oczywiste – niemniej lokalne władze policyjne prosiły Warszawę o instrukcję. Ta nadeszła szybko i brzmiała z grubsza: jak chcą jechać, to tym lepiej<sup>13</sup>. W niejednym wspomnieniu o szmalcownikach pojawia się nie bandzior czatujący przed gettem, lecz „zwykły” człowiek, nachodzący kogoś w domu. Niemniej jednak trudno mi uwierzyć, żeby np. w manifestacjach antyżydowskich na początku okupacji nie było zwiększonej liczby ludzi zaliczalnych do „motłochu”, przy całym braku precyzji tego określenia. Hasła endeckie były szeroko akceptowane w niższych warstwach społecznych. I trudno mi jednocześnie zapomnieć, że np. profesor Marian Małowist (by przywołać osobę z naszego środowiska, której losy są szeroko znane) uratował się dzięki pomocy kolegów-historyków, jako żywo inteligentów, a później ukrywał się na Lubelszczyźnie niekoniecznie wśród takich.

<sup>10</sup> Zob. J. Tokarska-Bakir, *Błąd pomiaru. O artykule Barbary Engelking „Powiat bielski”*, „Teksty Drugie” 2018, nr 5 (przypis autorki).

<sup>11</sup> To sformułowanie, obecne w konkluzji książki *Sąsiedzi*, Jan Tomasz Gross zaczerpnął od Christophera Browninga z tytułu jego pracy pt. *Ordinary Men: Reserve Police Battalion 101 and the Final Solution in Poland*, New York 1998 (wyd. 1 polskie: *Zwykli ludzie. 101. Policijny Batalion Rezerwy i „ostateczne rozwiązanie” w Polsce*, przeł. P. Budkiewicz, Warszawa 2000), (przypis autorki).

<sup>12</sup> W. Kula, *Nasza w tym rola* [w:] idem, *Uparta sprawa. Żydowska? Polska? Ludzka?*, Kraków 2004, s. 158–168.

<sup>13</sup> AAN, KGPP, sygn. 258.

Jako motto do dowolnych rozważań nad referowanymi sprawami chętnie pomieściłbym fragment wspomnień Romana Fristera, który w pewnym momencie ucieka z obozu koncentracyjnego (!). Trafia na jakąś chałupę:

„Kto zacz?”

Ogolona głowa i pasiasta odzież nie pozwalały na kłamstwo.

„Niech pani da trochę jedzenia i pójdę sobie” – odezwałem się cicho.

„Jesteś głodny?”

„Tak”.

„Żydek?”.

Przytaknąłem. Zaprzeczanie nie miało sensu.

„Bierz nogi za pas i uciekaj, nim mąż się obudzi” – powiedziała z nagłą stanowczością.

„Uciekaj, póki nie za późno”.

„Nie mam dokąd” – wymamrotałem – „Pani popatrzy: to ubranie każdy pozna.

Może pani da jakieś spodnie i kurtkę?”.

„Masz pieniądze?”.

„Ani grosza”.

„No to złoto”.

„Złota też nie mam”.

„Za nic dostaje się gówna, rozumiesz? Taki jest świat”.

„Rozumiem, proszę pani”.

„Ja tam żadna pani. Chłopka jestem. Jezusie najśłodszy, niczego go tam nie nauczyli. Coś ty, z księżycy spadł? Tu niczego nie ma za darmo. Jest wojna. Słyszałeś, że jest wojna? Wieś biedna, do pyska nie ma co włożyć. A ty chcesz spodnie! Za darmo! Partyzanci, żeby ich nagła krew zalała, zabierają wszystko, co się da. A jak coś zostanie, wezmą Niemcy. Co ty myślisz, że ja dla wygody sypiam w oborze? Starej krowy pilnuję, bo to wszystko, co mamy. Kolczykowana. Jak ją partyzanci wezmą, Niemce nas ukatrupią. Ale nie wszystkie Niemce takie złe” – chłopka pokazała w uśmiechu dwa rzędy pożółkłych zębów – „Są też Niemce, co dają nagrody. Za takiego Żydka jak ty zapłacą głowę cukru albo worek mąki. Tyle jesteś wart, synu. Niemało, co? Nie bój się, nie bój. Ja tam na Gestapo nie polecę. Niech inni latają [...]”<sup>14</sup>.

Jeżeli ten dialog został odtworzony wiernie, to jest w nim wszystko. Mówi nie inteligentka, ale też nie osoba z „motłochu”. W jej słowach widać dystans (poczucie obcości) wobec proszącego, nienawiść (przynajmniej ze strony jej męża), brak chęci szkodenia rozmówcy – ale też bezsens oczekiwania z jej strony na pomoc. No i widać – co nie najmniej ważne – okupacyjne, nieszczęsne zwariowanie sytuacji.

Opisywanym przez autorkę obławom na Żydów chętnie przyjrzałbym się jeszcze bliżej – choć trudno mi wysuwać taki postulat wobec ogromu widocznej w książce pracy. W udziale człowieka w takiej obławie – niezależnie od ponoszenia zawsze odpowiedzialności za swoje czyny – mogą jednak zachodzić różne sytuacje. Można w niej uczestniczyć *con amore*, można być zmuszonym bądź czuć się zagrożonym w wypadku odmowy,

<sup>14</sup> R. Frister, *Autoportret z blizną*, tłum. E. Frister, R. Frister, Warszawa 2019, s. 322.

można odczuwać społeczny przymus, można być stopniowo wciągany w pewien mechanizm... Oczywiście te wszystkie sytuacje nie muszą być laboratoryjnie klarowne, mogą być przemieszane. Nie było w nich klarowności eksperymentów Zimbardo ani mierzalności czynników działających. Ile razy jednak czytam o psychologicznych eksperymentach, to wydaje mi się, że warto by zajmować się również tymi, których historia jest pełna, niestety dokonywanymi bez zgody ludzi im poddawanych. Ważne są np. dla mnie rozważania autorki nad psychologią reakcji antyżydowskich, brakiem ich uzasadnienia w istniejącej rzeczywistości, podbudowywaniem ich mitami i wyobrażeniami. Także niepokojem porównywalnym np. z takim, jaki nieraz pojawiał się w „lepszych” grupach w USA wobec wychodzenia Afroamerykanów z ich podrzędnego miejsca (jego odpowiednikiem w Polsce była teza o „panoszeniu się” Żydów). Ciekawe są autorki rozumowania porównawcze – np. pokazujące, że nie można obalić wiary w mord rytualny podobnie jak, dajmy na to, nie można obalić wiary w zamach smoleński – praktycznie bowiem nie da się udowodnić, że czegoś nie było. Mogę tylko ubolewać, że zjawiska wiary w mity zdają się obecnie rozpowszechniać i mogę pytać o przyczynę tego zjawiska.

Na zakończenie dwie uwagi. Pierwsza odnosi się do cytowanych wyżej słów autorki, że „najważniejszą dyskusję w kwestii udziału w Zagładzie Polacy mają jednak jeszcze ciągle przed sobą”. Myślę, że jeszcze różne dyskusje są przed nami. W wielu krajach na dyskusje nad drażliwymi sprawami minionymi trzeba było czekać. Niejedną inicjowali historycy spoza danej społeczności – chyba nieprzypadkowo właśnie tacy. Może im było łatwiej, a może jako ludzie z zewnątrz niejedno lepiej widzieli? Joannie Tokarskiej-Bakir można pogratulować jako osobie miejscowej, która nie waha się zabierać głosu.

Druga uwaga jest krótsza: to jest bardzo ciekawa i ważna książka.